

A movie poster for the film 'On Chesil Beach' by Ian McEwan. The poster features a young man with wavy brown hair, wearing a dark suit and tie, looking off to the side with a serious expression. In the foreground, a young woman with long, wavy red hair, wearing a bright blue jacket, is looking towards the right. The background is a soft, out-of-focus landscape with a body of water and a cloudy sky. The text 'FILM W KINACH' is in the top right corner. The title 'Ian McEwan' is in large white serif font, and 'NA PLAŻY CHESIL' is in a smaller white serif font below it.

FILM W KINACH

Ian
McEwan
NA PLAŻY CHESIL

B yli młodzi, wykształceni, w noc poślubną oboje bez doświadczenia w „tych sprawach”, i żyli w epoce, w której rozmowa o problemach seksualnych była po prostu niemożliwa. Nigdy nie jest zresztą łatwa. Siedli właśnie do kolacji w małym salonie na pierwszym piętrze hoteliku w stylu georgiańskim. W widocznym za otwartymi drzwiami sąsiednim pokoju stało raczej wąskie łóżko z baldachimem, z nieskazitelnie białą kołdrą, naciągniętą zdumiewająco gładko, jakby nie ludzką ręką. Edward nie wspomniał, że nigdy wcześniej nie spędził nocy w hotelu: dla Florence, która w dzieciństwie często podróżowała z ojcem, było to coś zupełnie zwyczajnego. Na pozór byli w świetnych nastrojach. Ślub w kościele St Mary w Oksfordzie udał się; nabożeństwo jak się patrzy, przyjęcie wesołe, pożegnanie, jakie zgotowali im koledzy ze szkoły i studiów, głośne

i krzepiące. Wbrew ich obawom rodzice Florence nie potraktowali protekcjonalnie rodziców Edwarda, jego matka zaś nie popełniła ani jednej gafy i nie zapomniała kompletnie, w jakim celu się zgromadzili. Młoda para odjechała małym autem należącym do matki Florence i przybyła wczesnym wieczorem do hotelu na wybrzeżu Dorset. Pogoda nie była może idealna jak na połowę lipca i na tę okazję, lecz całkiem do zaakceptowania: nie padał deszcz, ale nie było też, według Florence, dość ciepło, by zjeść kolację na tarasie, tak jak to wcześniej planowali. Edward był innego zdania, jednak uprzejmy aż do przesady, nie miał zamiaru sprzeciwiać się Florence w taki wieczór.

Jedli więc na górze przy uchylonych drzwiach na balkon, z którego rozpościerał się widok na kanał La Manche i kamienistą mierzeję plaży Chesil*. Dwaj młodzi chłopcy w smokingach donosili im dania ze stojącego na korytarzu wózka; wypastowane dębowe klepki skrzypiały komicznie za każdym razem, gdy wchodzili do pomieszczenia określanego na ogół mianem apartamentu dla nowożeńców. Dumny i opiekuńczy pan młody pilnie wypatrywał jakie-

* Chesil Beach to część wąskiej kamienistej mierzei w hrabstwie Dorset w południowej Anglii. Plaża Chesil łączy się z półwyspem Portland urokliwymi klifami chroniącymi przed wiatrem, falami i pływami wioskę Chiswell.

gokolwiek gestu czy miny, które można by uznać za prześmiewcze. Nie zniósłby żadnej drwiny. Chłopcy z pobliskiej wsi wykonywali jednak swe obowiązki ze zgiętymi karkami, z nieruchomymi twarzami i wyraźną nieśmiałością i trzęsły im się ręce, gdy stawiali talerze na wykrochmalonym lnianym obrusie. Oni też byli spięci.

Nie był to dobry moment w historii angielskiej kuchni, ale nikt się tym wówczas nie przejmował, z wyjątkiem gości z zagranicy. Uroczysta kolacja zaczęła się tak, jak zaczynało się w tamtym okresie wiele posiłków – od plastra melona udekorowanego pojedynczą lukrowaną wisienką. Na korytarzu, na podgrzewanych świeczką srebrnych półmiskach czekały plastry dawno temu upieczonego rostbefu, rozgotowane jarzyny i ziemniaki o sinym odcieniu. Wino było francuskie, choć na etykiecie ozdobionej obrazkiem samotnie pikującej jaskółki nie wymieniono żadnego konkretnego regionu. Edwardowi nie przyszło na myśl, żeby zamówić czerwone.

Nie mogąc się doczekać wyjścia kelnerów, on i Florence odwrócili się w stronę balkonu, żeby spojrzeć na szeroki, porośnięty mchem trawnik i na kwitnące krzewy i drzewa, które czepiały się opadającego ku plaży stromego zbocza. Widzieli początek ścieżki prowadzącej po zabłoconych stopniach

w dół i okolonej chwastami niebywalej wielkości – podobnymi do rabarbaru i kapusty, z masywnymi, mającymi prawie dwa metry długości łodygami, które uginały się pod ciężarem ciemnych, grubo żyłkowanych liści. Ogrodowa roślinność była zmysłowa i tropikalna w swojej bujności; efekt potęgowały szare miękkie światło i delikatna mgiełka idąca od morza, które bezustannie atakowało z łagodnym grzmotem brzeg i cofało się z sykiem, przesiewając kamyki. Po kolacji zamierzali zmienić obuwie i wybrać się na spacer mierzeją, która biegła między morzem i laguną o nazwie Fleet, a gdyby nie skończyli wina, mieli zabrać je ze sobą i popijać z butelki niczym grasanci.

I mieli tyle planów, tyle przyprawiających o zawrót głowy planów, mających przed nimi w spowitej mgłę przyszłości, tak samo splątanych i bujnych jak letnia roślinność wybrzeża Dorset, i tak samo pięknych. Gdzie i jak będą żyli, kim będą ich bliscy znajomi, co Edward będzie robił w firmie jej ojca, jak ułoży się jej muzyczna kariera, co zrobią z pieniędzmi, które dał im jej ojciec, i jak będą się różnić od innych ludzi, przynajmniej wewnątrz. Wciąż trwała epoka – miała się skończyć nieco później w tej słynnej dekadzie – kiedy bycie młodym stanowiło społeczny balast, znamię nieistotności, krępującą

chorobę, której kuracja zaczynała się z chwilą zawarcia małżeństwa. Prawie dla siebie obcy, znaleźli się razem w nowym kulminacyjnym punkcie swojej egzystencji, przekonani, że nowy status wyzwoli ich ze stanu niekończącej się młodości – Edward i Florence, nareszcie wolni! Lubili rozmawiać na temat własnego dzieciństwa, nie tyle jego rozkoszy, ile mgiełki komicznych nieporozumień, z której się wyłonił, oraz różnych rodzicielskich błędów i przestarzałych metod wychowawczych, które skłonni byli teraz wybaczyć.

Z tych nowych wyżyn dostrzegali wyraźnie pewne sprzeczne emocje, lecz nie potrafili o nich ze sobą mówić: każde z nich obawiało się owego momentu, jakiś czas po kolacji, gdy zostanie poddana próbie ich nowa dojrzałość – gdy położą się razem na łożu z baldachimem i oddadzą sobie bez reszty. Od przeszło roku Edwarda fascynowała perspektywa, że pewnego lipcowego wieczoru jego najbardziej czuła część znajdzie się – aczkolwiek tylko na chwilę – w naturalnie uformowanej szczelinie wewnątrz tej wesołej, ładnej, niesamowicie inteligentnej kobiety. Nie wiedział, czy można tego dokonać bez narażenia się na śmieszność i rozczarowanie. Na podstawie jednego niefortunnego doświadczenia obawiał się zwłaszcza nadmiernej ekscytacji, tego, co ktoś okre-

ślił jako „zbyt szybkie dojście”. Myślał o tym prawie bez przerwy, lecz choć dręczył go lęk przed fiaskiem, jego gotowość doznania rozkoszy i przezwyciężenia wszelkich przeszkód okazała się znacznie większa.

Obawy Florence były poważniejsze i w trakcie podróży z Oksfordu myślała kilka razy, że zbierze się na odwagę i powie, co ją gnębi. To, co ją gnębiło, zdawało się jednak nie do wysłowienia i sama nie potrafiła tego dokładnie rozpoznać. Podczas gdy on doświadczał konwencjonalnej tremy przed pierwszą nocą, ona odczuwała głęboką instynktowną trwogę, bezradność i wstręt równie namacalny jak choroba morska. W trakcie kilkumiesięcznych przygotowań do ślubu udawało jej się na ogół ignorować tę skazę na obrazie przyszłego szczęścia, ale kiedy tylko zaczynała myśleć o zbliżeniu – wołała nie używać innych terminów – czuła ucisk w żołądku i robiło jej się niedobrze. W nowoczesnym, utrzymanym w pogodnym tonie i obfitującym w wykrzykniki i liczne ilustracje poradniku dla młodych panien natrafiła na pewne frazy lub słowa, na widok których o mało się nie zakrztusiła: *błona śluzowa* oraz *złowroga i lśniąca żołądź*. Inne zwroty obrażały jej inteligencję, zwłaszcza te dotyczące „wchodzenia”: *na krótko, zanim w nią wejdzie* albo *teraz w końcu w nią wchodzi* oraz *szczęśliwie, zaraz potem, jak w nią wszedł*. Czy tej nocy miała

zmienić się dla Edwarda w rodzaj portalu albo bawialni, po której miał się przechadzać? Niemal równie często występowało tam słowo, które kojarzyło się jej wyłącznie z bólem, z ciałem, które rozcina nóż: *penetracja*.

W przypiływie optymizmu próbowała sobie wmówić, że to, czego doświadcza, jest po prostu spotęgowaną formą nieśmiałości, która musi minąć. Na myśl o jądrach Edwarda, kołyszących się pod jego *przekrwionym* penisem – kolejne okropne określenie – rzeczywiście bezwiednie się skrzywiła, a pomysł, by pozwoliła się dotykać „tam na dole”, nawet komuś, kogo kochała, był tak samo odrażający jak, powiedzmy, operacja na otwartym oku. Ale jej nieśmiałość nie obejmowała dzieci. Lubiła je; opiekowała się czasem synkami swojej kuzynki i było to całkiem miłe. Chętnie zaszłaby w ciążę z Edwardem i przynajmniej w abstrakcji nie bała się porodu. Gdyby tylko mogła, podobnie jak matka Jezusa, znaleźć się w błogosławionym stanie w wyniku jakichś czarów.

Florence podejrzewała, że coś jest z nią zasadniczo nie w porządku, że zawsze była inna i w końcu to się wyda. Przypuszczała, że chodzi o coś większego i głębszego aniżeli zwykła fizyczna odraza: całym swoim jestestwem buntowała się przeciwko per-

spektywie cielesnego splątania. Czuła, że naruszone zostaną jej wewnętrzny spokój i podstawy szczęścia. Nie chciała po prostu, by ktoś w nią „wchodził” albo ją „penetrował”. Seks z Edwardem nie był ukoronowaniem jej radości, lecz ceną, jaką musiała za nią zapłacić.

Wiedziała, że powinna mu to wyznać dawno temu, gdy tylko się jej oświadczył, na długo przed wizytą u pocziwego pastora o cichym głosie, przed kolacjami u jednych i drugich rodziców, zanim zaproszono weselnych gości, spisano i przekazano do domu towarowego listę prezentów, wynajęto namiot i fotografów i poczyniono inne, niedające się cofnąć przygotowania. Ale co mogła powiedzieć, jakich użyć słów, skoro sama nie potrafiła dokładnie określić, o co jej chodzi? I kochała Edwarda – nie gorącym wilgotnym uczuciem, o którym czytała, lecz ciepło, głęboko, czasami jak córka, czasami miłością niemal macierzyńską. Uwielbiała się do niego przytulać, czuć jego wielką rękę na ramionach i być przez niego całowana, choć nie lubiła, żeby wpychał język w jej usta, i bez słowa dała mu to do zrozumienia. Uważała, że jest oryginalny, niepodobny do żadnej z osób, które знаła. W kieszeni marynarki miał zawsze jakąś książkę w miękkiej okładce, na ogół historyczną, w razie gdyby znalazł się nagle w kolejce albo w po-

czekalni. Był chyba jedyną znaną jej osobą, która nie paliła tytoniu. Nie miał ani jednej pary pasujących do siebie skarpetek i nosił tylko jeden krawat z dzianiny, wąski i granatowy, który prawie zawsze wiązał do białej koszuli. Uwielbiała jego ciekawy umysł, łagodny wiejski akcent, niesamowicie silne dłonie, nieprzewidywalność, z jaką przeskakiwał z tematu na temat w trakcie rozmowy, uprzejmy sposób, w jaki ją traktował, i to, jak spoglądał na nią swoimi brązowymi oczami, kiedy mówiła – miała wtedy wrażenie, że unosi się na skrzydłach miłości. W wieku dwudziestu dwóch lat nie miała wątpliwości, że chce spędzić resztę życia z Edwardem Mayhew. Jak mogłaby ryzykować, że go straci?

Nie było nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Jej siostra Ruth była zbyt młoda, a matka, na swój sposób absolutnie wspaniała, podchodziła do wszystkiego zbyt oschle i intelektualnie: typowa staroświecka sawantka. Za każdym razem, gdy trafiał się jakiś problem natury intymnej, przenosiła się myślami na salę wykładową, używała coraz dłuższych i dłuższych słów i nawiązywała do książek, które jej zdaniem wszyscy powinni przeczytać. Dopiero kiedy kwestia była w ten sposób bezpiecznie opakowana, matka mogła, choć zdarzało się to nader rzadko, nawiązać życzliwy kontakt z rozmówcą, ale i tak nie

można było pojąć, jak brzmi jej rada. Florence miała kilka cudownych przyjaciółek ze szkoły i studiów muzycznych, lecz problem z nimi był zupełnie odwrotny: uwielbiały intymne rozmowy i roztrząsanie cudzych problemów. Wszystkie dobrze się znały i bez przerwy do siebie telefonowały i słały listy. Nie mogła liczyć na ich dyskrecję i nie miała im tego za złe, ponieważ należała do paczki. Ona też nie dochowałaby tajemnicy. Samotnie borykała się z problemem, którego nie potrafiła nawet nazwać, a jedynym źródłem jej wiedzy był poradnik w miękkiej oprawie. Na jego jaskrawo czerwonej okładce widać było dwie trzymające się za dłonie, uśmiechnięte figurki z wyłupiastymi oczami, narysowane nieporadnie białą kredą, jakby ręką niewinnego dziecka.

* * *

Zjedli melona w niespełna dwie minuty. W tym czasie kelnerzy, zamiast czekać na korytarzu, stali przy drzwiach, skubiąc muszki, ciasne kołnierzyki i mankiety koszul. Wyraz ich twarzy nie zmienił się, gdy Edward z udawanym namaszczeniem podał Florence na palcu swoją lukrowaną wisienkę. Złapała ją figlarnie ustami i rozgryzła, patrząc mu prosto w oczy i oblizując wargi językiem, świadoma, że flirtując z Edwardem w ten sposób, pogarsza tyl-

ko własną sytuację. Nie powinna zaczynać czegoś, czego nie mogła kontynuować, ale dogadzanie mu w każdy możliwy sposób łagodziło trochę napięcie: nie czuła się przynajmniej kompletnie nieprzydatna. Gdyby tylko zjedzenie lepkiej wisienki okazało się wszystkim, czego od niej wymagano.

Żeby pokazać, że nie krępuje go obecność kelnerów (choć marzył o tym, żeby wyszli), Edward wyprostował się na krześle z kieliszkiem w dłoni i obejrzał przez ramię.

– Macie tego jeszcze trochę? – zawołał.

– Nie mamy, proszę pana. Przepraszam pana.

Lecz dłoń, w której Edward trzymał kieliszek, drżała, gdy starał się opanować nagłą falę szczęścia i egzaltacji. Miał wrażenie, że Florence cała jaśniej, i była taka urocza – piękna, wrażliwa, utalentowana i niewiarygodnie łagodna.

Chłopak, który odpowiedział na pytanie Edwarda, podszedł, żeby sprzątnąć nakrycia. Jego kolega był w tym momencie na korytarzu i nakładał drugie danie. Wózka nie można było wtoczyć do apartamentu ze względu na różnicę dwóch stopni między jego podłogą i podłogą korytarza – wynik błędnego planowania, kiedy w połowie osiemnastego wieku elżbietański budynek gospodarczy przebudowywano w stylu georgiańskim.

Młodzi zostali na chwilę sami, ale słyszeli przez otwarte drzwi zgrzytanie łyżki o półmisek i stłumione głosy kelnerów. Edward położył dłoń na dłoni Florence.

– Kocham cię – powiedział szeptem po raz setny tego dnia, a ona wyznała mu to samo i naprawdę w to wierzyła.

Edward skończył historię na University College w Londynie, z bardzo dobrą oceną. W ciągu trzech krótkich lat studiował wojny, powstania, klęski głodu i zarazy, wzrost i upadek imperiów, rewolucje, które pożerały swoje dzieci, ciężką pracę na roli, brud i nędzę przemysłu, okrucieństwa elit rządzących – barwny korowód prześladowań, ubóstwa i zawiedzionych nadziei. Rozumiał, jak ograniczone i nędzne może być życie ludzi, z pokolenia na pokolenie. W ogólnym porządku rzeczy pokój i dobrobyt, których doświadczała teraz Anglia, były czymś rzadkim, a w ich ramach szczęście, jakiego zaznawali on i Florence, czymś wyjątkowym, a może nawet niepowtarzalnym. Na ostatnim roku studiów pisał pracę o „wielkich ludziach” w historii – czy naprawdę zdezaktualizowało się przekonanie, że potężne indywidualności mogą kształtować dzieje narodu? Tak z pewnością uważał promotor Edwarda: jego zdaniem nieomyłne siły popychały odpowiednio skapi-

talizowaną Historię ku nieuchronnym, koniecznym celom, i zostanie wkrótce uznana za naukę ścisłą. Jednak żywoty, które zbadał dokładnie Edward – Cezara, Karola Wielkiego, Fryderyka Drugiego, Katarzyny Wielkiej, Nelsona oraz Napoleona (osobę Stalina ominął na wyraźne życzenie promotora) – sugerowały coś wręcz przeciwnego. Bezwzględny przywódca, nagła okazja i łut szczęścia – dowodził Edward – mogą odmienić los milionów. Ta konkluzja sprawiła, że dostał czwórkę z minusem i o mało nie stracił dyplomu z wyróżnieniem.

Przy okazji odkrył, że nawet legendarne sukcesy dają mało szczęścia, wznagają za to niepokój i podsycają ambicję. Ubierając się na ślub tego ranka (frak, wysoki cylinder, duża ilość wody kolońskiej), uznał, że żadna z postaci z jego listy nie doznała satysfakcji, której on teraz doświadczał. Jego uniesienie samo w sobie stanowiło formę wielkości. Oto on: cudownie zaspokojony bądź też prawie zaspokojony mężczyzna. W wieku dwudziestu dwóch lat zdążył już wszystkich przyćmić.

Wpatrywał się teraz w swoją żonę, w misternie cętkowane orzechowe tęczówki jej oczu i czyste białka z nutką jasnego mlecznego błękitu. Miała grube i ciemne rzęsy, jak u dziecka, i było również coś dziecinnego w spokojnej powadze jej twarzy, uro-

czej twarzy z rzeźbionymi rysami, które w pewnym oświeceniu przywodziły na myśl Indiankę, wysoko urodzoną squaw. Silna szczęka przydawała naturalności szerokiemu uśmiechowi i zmarszczkom w kącikach oczu. Florence była grubokoścista – kilka obecnych na weselu matron zwróciło uwagę na jej szerokie biodra. Jej piersi – Edward dotykał ich, a nawet je całował, choć czynił to zdecydowanie zbyt rzadko – były dość małe, a jej dłonie skrzypaczki – blade i silne, podobnie jak długie ramiona; w szkole uprawiała rzut oszczepem.

Edward nigdy nie interesował się muzyką klasyczną, lecz teraz uczył się jej dziarskiego żargonu: *legato*, *pizzicato*, *con brio*. Powoli, dzięki banalnemu powtarzaniu, zaczynał rozpoznawać i nawet lubić pewne utwory. Szczególnie poruszył go jeden, który Florence grała ze swoimi przyjaciółmi. Ćwicząc w domu gamy i arpeggia, zakładała na włosy opaskę, co budziło w nim marzenie o córce, którą mogli kiedyś mieć. Gra Florence była meandryczna i dokładna i słyłęła z bogatego brzmienia. Jeden z nauczycieli stwierdził, że nigdy jeszcze nie spotkał uczennicy o tak ciepłym dźwięku otwartej struny. Stojąc za pulpitem na sali prób w Londynie lub w swoim pokoju w domu jej rodziców w Oksfordzie, na oczach leżącego na łóżku i pożądającego jej Edwarda, Floren-

ce trzymała się prosto, z wdziękiem i dumnie podniesioną głową, i czytała nuty z władczym, niemal wyniosłym wyrazem twarzy, który go podniecał. To spojrzenie znamionowało taką pewność i taką znajomość drogi ku szczęściu.

W sprawach muzycznych była zawsze pewna siebie i miała płynne ruchy – nacierając smyczek kalfonią, strojąc swój instrument i przygotowując pokój na przyjęcie trojga przyjaciół ze szkoły, tworzących wraz z nią kwartet smyczkowy, który stał się jej pasją. Była niekwestionowaną liderką i zawsze miała ostatnie słowo podczas wielu ich muzycznych kontrowersji. W innych dziedzinach była jednak zaskakująco niezgrabna i niepewna, wiecznie uderzała się w palec u nogi, wywracała różne rzeczy albo obijała głowę. Palce, które radziły sobie z dwudźwiękami w bachowskiej particie, potrafiły wylać pełną filiżankę herbaty na lniany obrus albo upuścić kieliszek na kamienną posadzkę. Potykała się, przypuszczając, że ktoś ją obserwuje – zwierzyła się Edwardowi, że męką jest dla niej podchodzenie na ulicy do kogoś znajomego. I za każdym razem gdy była podenerwowana lub skrupowana, jej ręka podnosiła się, by odsunąć wyimaginowany kosmyk włosów z czoła – łagodny, trzepotliwy gest, który powtarzał się długo po tym, jak ustało źródło stresu.

Jak mógłby nie pokochać kogoś tak dziwnie i serdecznie wyjątkowego, tak do bólu uczciwego i samokrytycznego, osoby, której każda myśl i emocja były widoczne jak na dłoni, przepływały niczym naładowane cząsteczki przez zmieniającą się twarz i gesty? Pokochałby ją, nawet gdyby nie odznaczała się tą posagową urodą. A ona kochała go z taką intensywnością, z taką straszliwą fizyczną wstrzeмиęźliwością. Pobudzała nie tylko jego żądze, spętowane brakiem właściwego ujścia, lecz również instynkt opiekuńczy. Czy rzeczywiście jednak była taka bezbronna? Zaglądając raz do jej szkolnych papierów, odkrył, że jej iloraz inteligencji wynosi sto pięćdziesiąt dwa, o siedemnaście punktów więcej niż jego. Działo się to w epoce, gdy uważano te wskaźniki za coś równie konkretnego jak wzrost lub waga. Kiedy w dyskusji z Charlesem, pulchnym i asertywnym wiolonczelistą o twarzy obsypanej późno rozkwitłym trądzikiem, miała inne zdanie na temat frazowania, tempa lub dynamiki, Edward, który obserwował próbę, dziwił się, jaka potrafi być chłodna. Nie kłóciła się, lecz wysłuchiwała spokojnie oponenta i ogłaszała swoją decyzję. Nie musiała wtedy odgarniać wyimaginowanego kosmyka. Znała się na rzeczy i stawiała na swoim, tak jak to powinny czynić pierwsze skrzypce. Najwyraźniej była

w stanie skłonić swego raczej budzącego lęk ojca, by postępował zgodnie z jej życzeniami. Na wiele miesięcy przed ślubem zaproponował, stosownie do jej sugestii, posadę Edwardowi. Inną sprawą było, czy Edward naprawdę chciał tej pracy, czy też nie śmiał tylko odmówić. I dzięki jakiejś kobieciej przenikliwości wiedziała dokładnie, co będzie potrzebne na uroczystość weselną, od rozmiarów namiotu po ilość letniego puddingu, a także jaką sumę zechce wyłożyć jej ojciec.

* * *

– Idą – szepnęła, ściskając Edwarda za rękę i ostrzegając przed kolejnym intymnym wyznaniem.

Kelnerzy pojawili się z pieczenią, której na jego talerzu było dwa razy więcej. Przynieśli również biskopt z bitą śmietaną i wiśniami, ser cheddar oraz miętowe czekoladki i postavili to wszystko na kredensie. Wymamrotawszy kilka słów na temat dzwonnika przy kominku – żeby wezwać obsługę, trzeba go było mocno wcisnąć i przytrzymać – chłopcy wycofali się, zamykając za sobą drzwi z ogromną ostrożnością. Zabrział terkot oddalającego się korytarzem wózka, następnie po chwili ciszy wesoły okrzyk bądź gwizd, który mógł dochodzić z hotelowego baru na dole, i wreszcie nowożeńcy zostali sami.

Zmieniający kierunek lub wzmagający się wiatr przyniósł odgłos łamiących się fal, który brzmiał niczym odległy brzęk kieliszków. Mgła unosiła się, odsłaniając kontury niskich pagórków nad linią brzegową na wschodzie. Widzieli lśniąca szarą gładź, która mogła być jedwabistą powierzchnią morza, laguny bądź nieba – trudno było powiedzieć. Wpadająca przez uchylone drzwi bryza niosła kuszący słony zapach tlenu i otwartych przestrzeni, niepasujący do wykrochmalonego obrusu, zabielonego kukurydzianą mąką sosu i ciężkich srebrnych sztućców, które trzymali w dłoniach. Weselny lunch był obfity i długi. Nie czuli głodu. Teoretycznie mogli śmiało zostawić talerze, złapać butelkę wina, zbiec na plażę, zdjąć buty i cieszyć się wolnością. W hotelu nie było nikogo, kto by chciał ich zatrzymać. Byli wreszcie dorośli, na wakacjach, i wolno im było robić, co chcieli. Za parę lat tak właśnie uczyniliby całkiem zwyczajni ludzie. Na razie jednak krępowały ich więzy epoki. Nawet kiedy Edward i Florence byli sami, obowiązywały ich tysiące niepisanych zasad. Właśnie dlatego, że byli dorośli, nie mogli zachowywać się dziecinnie, nie mogli nie zjeść posiłku, który ktoś dla nich pracowicie przygotował. Był przecież czas kolacji. A dziecinność nie stała się jeszcze czymś zaszczytnym ani modnym.